

Szklaneczka whisky

Opublikowany w marcowym wydaniu „HFIM” test wzmacniacza zza Wielkiej Wody wywołał komentarze, które pośrednio do mnie dotarły. Być może zniekształcone przez głuchy telefon, więc jakby co, przepraszam zainteresowanych.

Pierwszy brzmiał: „Oj, chyba się nie podobalo”.

Z tym jest zawsze problem. Powiedziałbym: już na płaszczyźnie intencji. Czasopiśma w Polsce od dwudziestu lat starają się przekonać ludzi, że powinni słuchać i określać swoje preferencje. Bo jeden lubi czekoladę, inny rzeżuchę. Bo jeden rodzaj muzyki tworzy takie oczekiwania, a drugi śmakie. Bo jeden wzmacniacz ma lampy i czaruje ciepłą średnicą, a inny – transformator jak koła od traktora i wali decybelami niczym pięściarz. Tych „bo” jest więcej. I każdy niby to rozumie – potakująco kiwa głową i robi mądrą minę. Przy okazji zachowuje się jak klient, który przy wejściu do salonu zaznacza: „Nieważne jak wygląda, ważne jak gra”, a potem najwięcej czasu spędza na wybieraniu okleiny kolumn; najlepiej z przymiarką do meblościanki w gościnnym. Słucha głównie akustycznej gitary, czasem Marka Grechuty, ale jeżeli w gazecie nie stoi jak byk, że bas trzęsie szklankami w kuchni, to znaczy, że jest gorzej niż źle. Z reguły nie bierze też pod uwagę, że jeśli jest bas jak Stumilowy Las, to może on przytłaczać wysokie tony. Musi być od góry do dołu po pięć kółek w tabelce i koniec.

Tymczasem zawsze mi się wydawało, że najważniejsza jest informacja, jak coś gra. Obrazowe przedstawienie wrażeń z odsłuchu i charakteru dźwięku. Jak się jednak okazuje, jest ono drugorzędne w stosunku do stwierdzenia, że „aparat” zawstydza konkurencję, a mnie majtki spadły. Wtedy znaczy, że jest OK i oprócz gitary dobrze zabrzmiały też silniki odrzutowe. Wprawdzie czytelnik płył z tym repertuarem nie ma, a wręcz ich nie znosi, ale na wszelki wypadek i taką opcję musi mieć w zapasie.

Wspomniane majtki to element stopniowania, stanowiący najwyższy punkt na skali zachwyty. Orgazm recenzenta. I tu przykłada drugi. Otóż, zniesmaczony brakiem fachowości czytelnik stwierdził, że omawiane urządzenie jest tak dobre, że trzeba bieliznę opuścić na parkiet, bezapelacyjnie.

Nie zamierzam krytykować takiego stwierdzenia, warto jednak założyć niekoniecznie gacie, ale pewną ewentualność. Bo co by się stało, gdyby rzeczony czytelnik usłyszał referencyjny system, złożony z dzielonego preampu i monobloków, że o reszcie nie wspomnę. Majtek już nie ma, więc jak się dalej wznosić? Że niby ptak odleciał? Też ryzykowne, bo jeśli firma pokaże nowy, trzykrotnie droższy i trzy razy lepszy zestaw, to pierzastego już nie ma. Siedzi w ciepłych krajach i ani myśli wracać. Punkt odniesienia jest płynny. Producenci cały czas pracują i od czasu do czasu udaje im się nawet podnieść poprzeczkę.

Sprawa staje się jeszcze bardziej skomplikowana w przypadku porównań. A tu akurat starszy model spotkał się z nowym. Poprzednik był świetny; to najbardziej udana integra w historii firmy. Następca jest co najmniej równie dobry i o przysłowiowy włoszek inny. Lepszy? Gorszy? Dla mnie ciekawszy, a chyba nic dobitniej tego nie potwierdza niż fakt, że został w redakcji. Okazuje się jednak, że to mało. Zabrakło stwierdzenia, że miażdży starszego konkurenta. Zjada go na śniadanie, a po drodze jeszcze nokautuje.

Oczywiście, można tak napisać, ale po pierwsze, to nieprawda; po drugie zaś, wpadamy w kolejną pułapkę. Skoro bowiem nowy model oddala się od poprzednika na odległość Saturna, to następny powinien pokonać już kilkadziesiąt lat świetlnych na drodze do perfekcyjnego brzmienia. Tyle że po kilku zmianach katalogu zabraknie nam galaktyk i trzeba będzie zaginać czasoprzestrzeń.

Inna rzecz, że podejrzewam niezadowolonego o posiadanie opisywanego urządzenia. Wtedy każde niedostateczne uniesienie obraża do głębi serca. Jak to, on kupił i wzmacniacz nie jest najlepszy?

Tutaj pojawia się kolejny dysonans, pokazujący konflikt interesów tych, którzy mają, z tymi, którzy mają mieć i „myślą”. Pierwsi zawsze będą niezadowoleni z niedostatecz-

nego entuzjazmu recenzenta. Drudzy natomiast oczekują, żeby było go nie za wiele, ponieważ w przeciwnym razie pojawią się podejrzenia o stronniczość; cierpi też warstwa informacyjna. Sęk w tym, że jeśli podniecenie jest zbyt wątle, to sprawa też podejrzana, bo pewnie się nie podoba i autor lawiruje. I bądź tu, człowieku, mądry.

Trzeba by znaleźć jakąś receptę. Zastanawiałem się nad tym długo i doszedłem do wniosku, że warto się skupiać na obrazowym, ale rzeczowym i komunikatywnym opisie. Być może nawet zaapelować do wszystkich recenzentów: nie uprawiajcie masturbacji słownej, bo to tylko przedmioty. Starajcie się zachować zimną krew i dystans, bo wtedy widać lepiej.

Przez chwilę myślałem, że to jakaś koncepcja, ale z ratunkiem przyszedł mi trzeci komentator. Wystarczy przecież napisać: „To gra tak, że tylko usiąść ze szklaneczką dobrej whisky i słuchać, słuchać, słuchać”. To jasne jak Słońce i każdemu trafi do wyobraźni. Zwłaszcza w Wielkim Poście, kiedy nieraz chciało się napić, jak dziecku zapłakać.

Muszę jednak być marudą z natury, bo minusy przesłoniły mi plusy. Zapytam kolegów po fachu: tak z ręką na sercu, ile razy tę szklaneczkę whisky wpleciście w tekst? Każdy ma ją na sumieniu, niektórzy nawet wielokrotnie i chyba nie ma bardziej wyświechtanego wtrętu w pisarstwie audiofilskim niż ten o rudej wódzcie na myszach.

Fajka też już leciała, a odkład palenie stało się démodé, były zegarki, herbaty, kawy i inne podobne sprawy. Wyszukane, wymagające otrząskania, bo nic tak nie łechce posiadacza drogiego sprzętu, jak otoczka znawstwa, koneserki, a w tle szlachecki dworek czy nawet szkocki zamek. Odrobina luksusu niedostępnego pospółstwu. Czasem nawet mam wrażenie, że pisma specjalistyczne powinny być kliniką, która ma to i owo przedłużyć. Tylko że te wszystkie didaskalia mają zerową wartość informacyjną, czyli nic konkretnego nie mówią. Bas jest miękki czy twardy? Proszę pana, świetny. Jak homary na Hawajach, jedzone w towarzystwie dziewczyn z kwiatami we włosach.

Co z tego wynika? Do głowy przychodzi mi tylko jedno podsumowanie. Mój nauczyciel wiolonczeli mawiał: to by było na końcu, co i na początku.

Maciej Strycki